



JAKUB KONIECPOLSKI

CENTRUM HANDLOWE

Jakub Konieczpolski

Centrum
handlowe

© Copyright by Jakub Koniecpolski & e-bookowo

Skład: Ilona Dobijańska

Projekt okładki: Jakub Koniecpolski

ISBN: 978-83-8166-018-1

Wydawca: Wydawnictwo internetowe e-bookowo

www.e-bookowo.pl

Kontakt: wydawnictwo@e-bookowo.pl

Wszelkie prawa zastrzeżone.

Kopiowanie, rozpowszechnianie części lub całości
bez zgody wydawcy zabronione

Wydanie I 2019

1.

– Ostatni raz, mówię ci, nigdy więcej! – Gawęł był jeszcze zaspany.

– Ostatni. Już więcej tego nie robimy. Dzielimy się kasą i wybieremy sobie jakiś ładny, ciepły kraj. Bez tej szarówki, marudzenia i żółci – rzucił Paweł.

Mijali właśnie Garbaty Mostek nad linią kolejową w kierunku Olsztyna. Mogła być wczesna wiosna lub późna jesień. To nie było zbyt istotne.

– Ty tylko o jednym: Argentyna, Peru, Malta, Cypr, Portugalia – i tak w kółko. Ja mówię o tej Beacie. Ja pierdołę! Myślałem, że kutasa mi ucięło – tak spięła pośladki. Czy robiłeś to kiedyś z tak chudą 50-latką, mając w głowie tylko to, że do domu wróci jej obleśny mąż lub jedno z czworga jej prawie dorosłych dzieci i nakryje was na analu w mikrokuchni? Rzygać mi się chce, jak sobie przypomnę jej długie włosy wokół cipska. Skończ wreszcie pierdolić i chodźmy szybciej na tę robotę. Muszę się obudzić.

Beata pracowała w PKO na Szerokiej. Przez lata siedziała w kasie. Niedawno awansowała. Teraz wciskała staruszkom kit z mikropożyczkami. Była w tym naprawdę dobra. Seniorzy jedli

jej z rąk. Wysoka, dobrze zasuszona, mocny makijaż, lekko obwisły biust – ideał dla 60- i 70-latków. Hobby: orzeszki ziemne, pasjans i dobra książka.

– Dlaczego ona? No pytam, dlaczego? – Gaweł zadzwonił do Pawła i dopytywał po ich pierwszym razie. Ale Paweł od razu wiedział, że Beata zacznie sypać jako pierwsza. Wystarczy dotrzeć tam, gdzie nigdy nie dotarł jej mąż.

Gaweł nawet nie przypuszczał, że pójdzie mu tak szybko. Że wystarczy dość duży kredyt gotówkowy, kilka słodkich słówek i karteczka z numerem telefonu powoli wsunięta w spoconą dłoń Beaty. Spotkali się tego samego dnia wieczorem. U niej. Wyglądała inaczej niż w banku – wycisnęła z siebie wszystkie pokłady uroku trzymane od kilku lat gdzieś na dnie. Ponoć w każdej kobiecie można znaleźć coś pięknego lub choćby coś, co pięknym było niegdyś. Skupił się i nie mógł jednak tego u niej znaleźć. Nawet na siłę.

Starsza córka poszła do koleżanki na noc, młodsza – na basen z młodszym synem. Starszy syn szlajał się jak co piątek z kumpłami po Czyścicu. A mąż robił klatę na siłowni. Mieli dla siebie dwie godziny. – Chyba tam nie dojdę – Gaweł wystękał po kilkunastu minutach.

– Boli cię? – zapytała Beata takim tonem, jakby pytała syna, czy boli go gardło. – Daj, pomasuję. Tak dobrze jeszcze nigdy mi nie było. Nigdy.

Po chwili znów w nią wszedł. Ale czuł do siebie wstręt. Jakby robił to z mężczyzną. Od tyłu wyglądała jak facet. Żadnego wcięcia w tali. Doszedł, kiedy przez jej ciało przeszedł dreszcz. Nigdy go tak nie bolał penis.

Wczepiła się w niego i zaczęła przygryzać sutki. Lekko ją odepchnął. – Nie teraz. Są zbyt wrażliwe – wystękał Gaweł, cały czas miał skrzywioną minę.

– No to wstajemy – zarządziła Beata i w pośpiechu zaczęła się

ubierać. Gaweł poszedł do łazienki. Na gumce była krew. – Ja pierdolę – rzucił.

Beata wyśpiewała wszystko jak na spowiedzi, ale dopiero po... trzech spotkaniach. Paweł miał rację: w jednym paluszku miała wszystkie zabezpieczenia w banku. Wszystko: rozkład kamer, alarmów pod stołami, grafik dyżurów ochroniarzy, godziny dostaw pieniędzy.

– Przynajmniej wiesz, co cię czeka na starość – zażartował Paweł, gdy mijali wiadukt nad linią kolejową wpisany w największe w mieście rondo.

– Pierdol się! To naprawdę cię tak bawi? – Gaweł szedł jak na szafot. – Nie pędź tak. Mamy jeszcze chwilę. Nie musimy wchodzić punkt ósma. Mam jakieś przeczucie, że dzisiaj wpadniemy. Że wylądujemy w kiciu.

– Zawsze tak mówisz. To pójdzie szybko. A jaką sobie dziś balangę strzelimy! Wódka, trawa, panienki. Wszystko, co tylko chcesz!

– Ostatni raz? – zapytał Gaweł i zrobił minę, jaką zdarzało mu się robić na zdjęciach z dzieciństwa. Paweł był starszy o dwa lata. Ale wszyscy myśleli, że to Gaweł jest starszy. Ożenił się. Zasadził drzewo. Spłodził trzech synów.

2.

12-latek w skórze 40-latka – tak najprościej można opisać Sebę. Od 12. roku życia paplał trzy po trzy. Ale na to nabierały się wszystkie nauczycielki, kasjerki, kobiety w kolejce, matki z wózkami, matki obłożone siatkami zakupów, a zwłaszcza te stojące w kolejce do pośredniaka i po zasiłek. Imponował im. Miał białutkie zęby. Opalony. I tępy jak one.

Ale w jego ruchach było coś delikatnego. Były pełne poezji. Gdy poruszał miotłą na placu głównym przed Domino. Był jak wstęp do pierwszego koncertu brandenburskiego Bacha. Jakby na palcach przemierzał trawniki, trawniczki. W śmietniku lądowały pety, papierki po cukierkach, puszki i butelki. To znak, że zombie jeszcze spały.

Królestwem Seby był składzik, do którego klucz mieli tylko Dominatorzy i on. Metr na metr. Nic specjalnego. Grabie. Miotły. Zestaw od śniegu. Kosiarki. Śrubokręty. Balbina, żona Seby jak najęta przez zaciśnięte zęby syczała: – Żebyś ty tak sprzątała w domu, jak w tym twoim składziku.

– Weź się – szeptał pod nosem, a w myślach dodawał: „ty głupia kurwo, szmato jebana, ja ci kiedyś jeszcze pokażę”.

– Co tam mruccysz? – pytała.

– Nic – odpowiadał i się zamykał. Przez całe wieczory przetrzucał kanały w kablówce. Balbina po drugim dziecku wygłądała, jakby cały czas była w ciąży. Nogi opuchnięte. Pod nosem wielkie krople potu. Jedno co ich łączyło, to miarowe pociąganie nosem. Po tym można było późnym wieczorem poznać, że jeszcze żyją i wypełniają sobą 44 metry kwadratowe na Nizinnej. Gdy się kłócili, rzucała: – Ale ja byłam głupia! Było iść za Darka! Prawdziwy facet! Teraz bym mieszkała na Górze! A nie w tym nędznym socjalu! A tak się tutaj urodziłam! Tutaj zejść!

Po nizińsku w skrócie brzmiało to mniej więcej tak: „Zrobiłeś ze mnie sukę i dziwkę! Jak sukę mnie brałeś! Chuja obciągałam Darkowi! Widzisz! Z połykiem! Patrzyłam mu w oczy! A z tobą chuja mam i chuja wałę! Nie będę ciszej! Niech się dowiedzą, żeś ciota! Że pedałowi byś obciągnął!”

Wtedy przyspieszał zmiatanie. Tłące się jeszcze w oddali, senne promienie słońca rozświetlały jego twarz. Miał być piłkarzem, a później trenerem. Sporo grał. Ale to nie była kontuzja.

– Czyś ty z chujem zamienił się na głowy! – powtarzał jego trener, gdy zbliżał się do piłki. – Nadajesz się tylko do zmiatania. Do łopaty. Do zbierania gówna. Bo jesteś i byłeś gównem.

To był ważny poranek. Czwartkowy poranek przed najdłuższym długim weekendem od lat. Zacznie się w sobotę i skończy dopiero w środę. Ot, taki prezent od partii rządzącej. Od poranka miasteczko zaczęło robić zapasy. A co tam – nie unikajmy klisz – jak na polsko-polską wojnę się zbroili.

Drugi po Sebie był Giedrys. Przychodził wpół do szóstej. Odpicowany. Z daleka było go czuć po wyjątkowo intensywnym zapachu dezodorantu. Ciągnął się za nim niczym wierny pies. „Giedrys się zbliża” – pomyślał Seba.

Z daleka wyglądał niczym terminator. Nerwowo poprawiał ciemną grzywkę. Nie szedł. Unosił się kilka centymetrów nad

ziemią. Seba wstrzymał oddech, zagryzł wargi i wypuścił z dłoni miotłę.

– Siema, debil – rzucił Giedrys. Seba był nieobecny. Mruknął coś.

Po tym przywitaniu zawsze rozpoczynał się rytuał. Otwieranie Domino. System zabezpieczeń centrum handlowego był – uwaga! fanfary! – autorskim dziełem Perełki. A raczej pracą zbiorową jego i jego kolegów SB-eków. W Polsce nikt takiego nie miał. Nawet mysz się nie prześlizgnie. Gdyby po zamknięciu Domino w budynku pojawił się tlenek węgla i łapczywie wypełniał wszystkie wnętrza, nie znalazłby ujścia. A wszyscy, którzy zostaliby po godzinie „zero” w środku, odpaliliby wrotki.

Jeden kod otwierał całe królestwo. Znały go tylko cztery osoby. Wyjątkiem był schron pod centrum handlowym. Tam dostęp miał tylko Perełka i szef miejskiej obrony cywilnej. Domino powstało na planie koła. Nad schronem przeciwatomowym. Ale na początku lat 90. nie takie rzeczy przechodziły.

To było pół roku temu. Bomba. Do Perełki dzwoni dziennikarz *Pomorza* – Mariusz Szczaniecki. Smarkacz po historii. Żółtodziób. Jego szefem był Wiesiek, kombatant Solidarności, a raczej „kombatant”, bo nic wielkiego w podziemiu nie zrobił, oprócz tego, że zeszczał się w gacie, gdy wpadł w ręce SB z bibułą. Taki z niego był bohater, bez ani jednego liścia czy łokcia w podbrzusze wsypał kolegów i jedną z drukarni. Nigdy się im nie przyznał.

Teraz postanowił oczyszczać miasto rękami nieopierzonych dziennikarzy, a że szefem archiwum był jego kolega ze szkolnej ławki, to pismaki miały niemal wszystko na zawołanie ręki. Perełka wiedział, że kiedyś ktoś do niego zadzwoni i zapyta o tamte czasy. Ale nigdy nawet przez myśl mu nie przeszło, że bardziej zirytuje go nie to, że ktoś grzebie w jego grzeszkach sprzed kilku dekad, ale że robi to żółtodziób, który w PRL sikał w pieluchy i patrzył, czy są równo mokre. Ni w ząb młody dziennikarz nie

rozumiał tamtych czasów. Ale teczki czytał z namaszczeniem i wypiekami. Miał też wyjątkową zdolność do łączenia faktów. Wystarczyło...

Perełka nie miał pojęcia, ile się ostało z jego teczki. Nie spodziewał się, że zachowa się aż tyle. Zygmunt obiecał, że wyczyści wszystko, a w aktach osobowych zostaną tylko same nagrody. Reszta pójdzie na papier toaletowy. Kilka lat później Zygmunt – gdy jak pączek w maśle pobierał jedną z najwyższych emerytur w mieście – przy wódce wspominał:

– Jacy ci Polacy są durni. Ot, duraki. Przez miesiące podcierali dupy naszymi teczkami. Chropowata srajtaśma skryła nasze największe tajemnice.

Pod koniec 1989 r. w wydziałach panował popłoch. Nikt nie chciał podpaść. Już nie było hieroglifów. Każdy się starał. Każdy papier miał pieczętkę. Wszystko po to, aby nie trafić rzutem na taśmę na czarną listę. Bo ci z czarnej listy mieli zagwarantowane, że ich teczki przetrwają nawet trzecią wojnę światową, że będą jak pancerze karakanów po wojnie nuklearnej, że dotrwią czasów, gdy temperaturą i wilgotnością powietrza w przepastnym archiwum będzie sterować komputer z czterordzeniowym, tfu!, z kilkoma ośmiordzeniowymi procesorami.

– Panie redaktorze, jestem osobą prywatną. – Tak Perełka zareagował na prośbę żółtodzioba o spotkanie. – Ależ ja sobie nie życzę. To, co jest w tej teczce, niech w niej pozostanie. Po co wyciągać te sprawy? Czy komuś zaszkodziłem? Kto nigdy nikomu nie zaszkodził, niech pierwszy rzuci kamień. Gdybym miał jakąś wielką emeryturę, tobym tu nie pracował. Powtarzam jeszcze raz, już mnie pan o to pytał trzykrotnie, w naszym mieście nie ma żadnej czerwonej mafii i spółdzielni. To jakieś bajki.

Jak zwał, tak zwał. Ale taka czerwona pajęczyna istniała i trzymała się blisko. Kontakty się odnowiły na stypie Zygmunta. Okazało się, że to on wszystkich poróżnił. W 1989 r. rozpoczął

jakąś grę, żeby wszystkich między sobą skłócić. Na jaw wyszło, że przejęły go nowe służby. Zygmunt zawsze był dobrze zorganizowany. Perfekcyjnie prowadził wszystkie papiery i teczki. Dbał o szczegóły. Nienawidził niechlujstwa. Dlatego tak bardzo imponowała mu Weronika, która szybko stała się jego prawą ręką. Pedantka. To ona trzymała kasę. Miała w rękach cały fundusz operacyjny.

To paradoks, ale to Zygmunt zorganizował nowe służby, a te dały mu pełną ochronę. Jego polisą była też niepozorna szafa w górnym przedpokoju. Miała podwójne drzwi. Żeby wejść do niewielkiego schowka, trzeba było się przeczołgać dwa metry. A tam piętrzyły się jedna na drugiej teczki. To były haki nie tylko na ówczesne elity. Ale też na wielu wilczków, młodych i ambitnych, przed którymi świat stał otworem, kandydatów na kandydatów, gołowąsów skazanych na wieloletnie noszenie teczki i asystowanie mistrzom, profesorom, przełożonym, dyrektorom i prezesom. Którzy mogliby jednym ruchem skrócić im karki jak lalkom młodszych siostr, którym za żadne skarby nie umieli wkręcić głów i kończyn. Którzy chcieli za wszelką cenę zająć ich miejsce. Jak najszybciej.

– Jaka spółdzielnia? – Dziwił się Perełka, rozmawiając przez telefon z żółtodziobem. – Czerwona? Kto panu takie bajki napowiadał? Wiesiek? Wiesiek to trząśł wtedy portami. Był małym chujkiem. Nagrywa pan? Był małym chujkiem. Mam to powtórzyć? Nikt nawet nie pomyślał, żeby go internować. Operacyjnie był totalnie bezużyteczny. Ja już skończyłem.

Po tygodniu dostał maila z pytaniami od żółtodzioba. Były naiwne. Wkurwił się. „Jeśli nie odpisze Pan do piątku, to opublikuję artykuł bez Pana wypowiedzi”. Pytania były z dupy, np. czy nie żałuje, że pracował w Służbie Bezpieczeństwa, czy zaszkodził komuś, czy pobił kogoś podczas przesłuchania, czy szantażował kogoś. „Co za kurew, szantażuje mnie i sam pyta, czy szantażo-

wałem” – pomyślał. Odpisał krótko: „Jestem osobą prywatną. Jeśli w jakikolwiek sposób w publikacji zostanie naruszone moje dobre imię, skieruję sprawę do sądu”. Artykuł nie poszedł, ale niepokój został.

Wiedział, że wcześniej czy później znajdzie się taki dziennikarz – ci coraz nowsi i młodszy mają coraz mniej skrupułów, dla nich PRL to nie filmy Barei, tylko totalna abstrakcja, czarno-biały film, zabawa w kotka i myszkę między bezpieczeństwem a Solidarnością – który nawet nie zapyta, po prostu ciurem opublikuje jego teczkę i będzie mieć na wszystko wywalone.

Pewnego pięknego dnia żółtodziób zaginął. Po kilku miesiącach odwołano poszukiwania. Na cmentarzu przy Grudziądzkiej pochowano pustą trumnę.